

# Siedzę za to, że mój brat uciekł za granicę



ANNA MACHCEWICZ

## Siedzę za to, że mój brat uciekł za granicę\*

11 sierpnia 1951 r. prasa donosiła: „tysiące młodych bojowników o pokój napływają bez przerwy do Berlina, „ludy świata przyjęły z gorącym uznaniem propozycje radzieckie w prawie pokoju”. W „Głosie Wybrzeża” szczególnie bije w oczy tytuł: „Bagno moralne zdrajców ojczyzny – o procesie Tatara, Utnika, Nowickiego, Mossora i innych przed Sądem w Warszawie” („Głos Wybrzeża”, 11 VIII 1951). W gdańskich kinach grali: *Wesołe kumoszki z Windsoru*, *Złoto jeziora*, *Rodzinę Sonnenbrucków*, *Było to w maju*, *Wesołe zawody*.

To była sobota, 11 sierpnia. Mimo upływu 60 lat Stefania Hewelt wyraźnie zapamiętała szczegóły. „Późnym wieczorem do drzwi zastukało dwóch młodych i całkiem elegancko ubranych panów. Gdy o mnie zapytali, ciocia, u której mieszkałam, bardzo gościnna osoba, w pierwszej chwili poczęstowała ich pierożkami i piwem, bo pomyślała, że to jacyś moi znajomi. Zjedli, wypili i podali mi pismo do pokwitowania. Patrząc, a tu Urząd Bezpieczeństwa – nakaz aresztowania” (Relacja Stefanii Hewelt z d. Cesarz). Zaczęła się rewizja. W ciszy przetrząsnęli wszystkie osobiste rzeczy domowników i w jednej z szuflad znaleźli całą teczkę dokumentów. Ucieszyli się, bo myśleli, że to coś ważnego, a to były rachunki, które zbierała jako skarbniczka w ZMP. Oprócz papierów było tam jeszcze trochę pieniędzy ze składek. Potem cała suma znalazła się w jej więziennym depozycie. Gdy skończyli, zapadł już zmierzch, wyszli na opustoszałą ulicę, gdyż rodzice na wszelki wypadek zawołali zwykle biegające do późna dzieci i zamknęli się na cztery spusty w domach. Ponieważ był środek lata, Stefania narzuciła na siebie żakiecik, nawet nie włożyła pończoch, sądziła bowiem, że zaraz wróci do domu. Na sąsiedniej ul. Legionów stał czarny samochód. Wsiedli i pojechali na ul. Okopową, gdzie mieściła się siedziba gdańskiego UB.

Stefania Cesarz przyjechała do Trójmiasta spod Krosna w 1948 r., zaraz po maturze, namówiona przez stryja, który tuż po wojnie osiedlił się z rodziną na Wybrzeżu. Morze przyciągało ludzi, jej starszy brat Władysław przybył tam nieco wcześniej, ukończył kurs w szkole morskiej i w pierwszy rejs, jako chłopiec okrętowy, popłynął „Batorym” do Nowego Jorku. Potem statkiem „Waryński” odbył rejs do Ameryki Południowej, pływał do portów europejskich. Wracał za każdym razem, choć nie brakowało okazji, by pozostać w wolnym świecie. Stefania pamięta, że już podczas pierwszego rejsu kilku marynarzy pozostało w Nowym Jorku. Po tym powrotnym rejsie brat na skutek ciężkiej pracy fizycznej w zmniejszonym składzie długo leczył nadwyrężone zdrowie. Pod koniec 1950 r. jako żołnierz z poboru trafił do jednostki Marynarki Wojennej w Kołobrzegu. Przez kilka miesięcy ich kontakty ograniczały się do sporadycznych listów, spotkać się mieli w sierpniu, podczas pobytu w Gdyni.

Tak wspomina tamte lata:

*Gdy brat był w domu, razem chodziliśmy na tańce, do restauracji. Trójmiasto było wesołe. Byłam młoda, cieszyłam się życiem, chodziłyśmy z koleżankami do kina, ciągle jeździłyśmy a to do Gdyni, a to do Sopotu. Owszem pracy było dużo, czasami wracało się z niej późnym wieczorem, a potem z humorem wracało do domu. Nic mnie nie obchodziła ta cała ideologia komunistyczna. Mój ojciec był socjalistą, ale do PZPR już się nie zapisał. Chodziło się na te zebrania ZMP, wszystkich nas tam zapisywali, wysłuchiwało tych głupot, ale nic mnie to nie obchodziło. Jakoś człowiek się z tym godził. O więzieniach nic nie wiedziałam, kto tam siedzi i za co. A tu nagle zaprowadzono mnie do celi. Do tej pory poznaję to okno – na trzecim piętrze. Siedziałam tam całkiem sama i nie wiedziałam za co. (Relacja Stefanii Hewelt)*

Podczas rewizji udało się jej ocalić jedynie mały metalowy grzebyk. Nie pozwoliła go sobie odebrać, tłumacząc, że jakoś musi dbać o fryzurę. Argument, o dziwo, podziałał. Przez kolejne miesiące grzebień był jedyną osobistą rzeczą, jaką posiadała. Nie otrzymywała żadnych listów ani paczek, nie przyznawano jej widzeń, ponieważ nikt z bliskich nie wiedział, gdzie przebywa. Z pieniędzy ZMP, które powędrowały do więziennego depozytu, kupowała sobie w więziennej kantynie cebulę i ceres.

Nie miała rzecz jasna pojęcia, że tego samego dnia do aresztów w całej Polsce trafiło jeszcze piętnaście innych osób, członków ośmiu rodzin, które nie spotkały się nigdy wcześniej. Nie byłoby to niczym zdumiewającym, gdyż w latach stalinowskich w wielu procesach toczących się pod sfingowanymi zarzutami łączono przypadkowych, nieznaną sobie dotąd ludzi. W tej sprawie niezwykle było to, że ponieśli oni odpowiedzialność za czyny swoich synów i braci, których władza nie mogła osiągnąć i ukarać. Wspólny los był dziełem przypadku – dziesięć dni wcześniej grupa jedenastu marynarzy poprosiła o azyl polityczny w szwedzkim porcie Ystad. Decyzja o aresztowaniach zapadła na wniosek MBP, ponieważ „zachodziło podejrzenie, iż rodziny najbliższe były o powyższym poinformowane listownie bądź w czasie urlopów poszczególnych marynarzy (AAN, sygn. 230, k. 10).

Marynarze byli członkami załogi okrętu polskiej Marynarki Wojennej „Żuraw”, który wyruszył z portu w Kołobrzegu 1 sierpnia 1951 r. i miał popłynąć do

Gdyni. Dowodził nim ppor. Arkadiusz Ignatowicz, w służbie od 1925 r. Na pokładzie znajdował się też szef Wydziału Pomiarów Szefostwa Hydrografii kmdr por. Jerzy Iwanow, doświadczony hydrograf, także należący do przedwojennego pokolenia. W rejs wypłynął jeszcze jeden oficer, do spraw politycznych, zaledwie 25-letni absolwent Szkoły Morskiej Zygmunt Bogumił, zaokrętowany 1 sierpnia. Dramat, którego aktorami stało się wielu ludzi, zaczął się na wysokości latarni morskiej Gąski. Kilku zbuntowanych marynarzy zamknęło pod strażą oficerów i podoficerów i zmieniło kurs statku na północny, kierując go w stronę Szwecji. Następnego dnia o świcie „Żuraw” zawinął do Ystad. Część marynarzy poprosiła o azyl. Ostatecznie na ląd zeszło jedenastu spośród 30-osobowej załogi. Okręt powrócił do portu w Oksywiu 3 sierpnia 1951 r. Po kilku dniach aresztowano trzech oficerów i dziewięciu podoficerów oraz marynarzy. Wszystkich poddano brutalnym przesłuchaniom w areszcie Informacji Wojskowej, które trwały do 15 sierpnia, po czym aresztowanych przeniesiono do gdańskiego aresztu śledczego przy ul. Kurkowej. Proces, któremu ku przestrodze przysłuchiwało się kilkuset żołnierzy Marynarki Wojennej, odbył się 1 września. Oficerów sądzono osobno, określono ich jako „zdrajców ojczyzny”. Nie brano pod uwagę faktu, że dowództwo przyprowadziło okręt do kraju, chroniąc go przed internowaniem, oraz przekonało kilku marynarzy, by wrócili do kraju. Komandor ppor. Iwanow i ppor. Ignatowicz zostali skazani na 15 lat pozbawienia wolności, degradację i pozbawienie praw obywatelskich na 5 lat, ppor. Bogumił na 12 lat więzienia. Podoficerów i marynarzy skazano na kary od 5 do 10 lat pozbawienia wolności. Zbiegłych marynarzy skazano zaocznie na karę śmierci (Semków 2006; Czerwiński 1989). Ani o aresztowaniach, ani o procesie Stefania Cesarz wiedzieć nie mogła. O tym, że wśród uciekinierów był jej brat, dowiedziała się po wielu dniach przesłuchań w gdańskim Urzędzie Bezpieczeństwa.

Dokumenty sprawy przeciwko członkom rodzin marynarzy zbiegłych za granicę z okrętu „Żuraw” znajdują się w zbiorze Komisji Specjalnej do Spraw Walki z Nadużyciami Gospodarczymi i Sabotażem. To dziwne umiejscowienie z uwagi na rodzaj oskarżenia stopniowo wyjaśnia lektura zgromadzonych tam dokumentów.

Drobiazgowa rewizja u Stefanii Cesarz nie dała jakiegokolwiek punktu zaczepienia. W czasie śledztwa pokazywano jej własne listy do koleżanek i kolegów i żądano wyjaśnień, kim byli adresaci. „Szukali w nich strasznych tajemnic, a to były jakieś młodzieńcze, czasami jeszcze szkolne przyjaźnie i miłości. I o tym rozmawiałam godzinami ze śledczymi przez chyba trzy tygodnie” (Relacja Stefanii Hewelt). Było ich trzech, ale tylko jeden z nich, starszy i gruboskórny, straszył Stefanię wysokim wyrokiem. Jego się obawiała. Dwaj młodsi sprawiali wrażenie nieco skrępowanych i mniej gorliwych.

„Winy” aresztowanych zostały opisane w informacji przygotowanej przez nadzorującego sprawę funkcjonariusza śledczego w Warszawie kpt. Krawczyńskiego. Brzmia dziś absurdalnie, niemal humorystycznie. Adam Szopa zaciągnął się ochotniczo do wojska w 1920 r., a następnie na własny koszt uczył się języka angielskiego. Marcin Barańczak, przed wojną policjant, „był organicznie związany z reżimem sanacyjnym Polski przedwrześniowej”, Józef Mokracki, „stryj jednego ze zbiegłych marynarzy, jest repatriantem w Wilna, gdzie w latach [19]32–38 miał sklep”, Mieczysław Sztylet „posiada krewnych za granicą”, a Bronisław Czaniecki służył w Armii Krajowej (AAN, sygn. 230, k.

1-6).

Atmosfera przesłuchań z całą pewnością nie wszędzie była taka, jaką zapamiętała Stefania Hewelt. Małżeństwo Marcina i Weroniki Czanieckich w podzywieckim Sporyszu aresztowano 12 sierpnia. Bronisław pracował na kolei, Weronika zajmowała się domem. Mieszkali samotnie, trzech synowie wyfrunęli już z domu, najmłodszy Jerzy aż na morze, toteż ich dom został zamknięty na cztery spusty. Inwentarz żywy oddano pod opiekę sąsiadom. W szczegółowym spisie pozostawionego dobytku znajduje się kilkaset pozycji, policzono pierzyny, kalosze, podkoszulki, sprzęt domowy i gospodarski. Drobiazgowa skrupulatność nakazuje przypuszczać, że procedura trwała bardzo długo. Nasuwa skojarzenie z rekwizycją.

W czasie śledztwa oboje zeznali, że z najmłodszym utrzymywali kontakt listowny, ale czasem bywał w domu i wtedy zawsze chwalił sobie służbę wojsku. Pewnego razu odwiedzili go w Gdyni, gdzie z dumą pokazywał im port i statki na nabrzeżu. Weronika wysyłała synowi co miesiąc 30 złotych, „by miał na piwo, gdy wyjdzie na miasto”. Syn otrzymane kwoty zawsze potwierdzał, ale ostatnio tego nie uczynił. Podczas jednego z przesłuchań Weronika Czaniecka zeznała:

*Moją ulubioną rozrywką poza pracą to było odwiedzić siostrę, położyć się na trawie, no i kiedy mąż był w domu, razem słuchaliśmy radia. Mąż lubił muzykę, ja natomiast lubiałam słuchać audycji dla wsi, czasem słuchałam procesów, jak były nadawane przez radio. Raz słuchałam radia i zaczęłam szukać coś bardziej interesującego, i uchwyciłam, jak mówili, że 16 polskich marynarzy uciekło, chciałam słuchać dalej, ale nastąpiły trzaski i wtedy zgasiłam. Kiedy usłyszałam „marynarze”, tknęło mnie, czy syna tam nie ma. Później zaraz się uspokoiliłam. Wiedziałam, że to zagraniczne radio, bo po co by mówili o „polskich” marynarzach. (AAN, sygn. 230, k. 14)*

Słuchanie zagranicznych stacji radiowych było przecież jednym z oczywistych „przestępstw” i można wątpić, by było to wyznanie dobrowolne.

Stefania Hewelt wspomina, że gdy dowiedziała się wreszcie od funkcjonariuszy UB o ucieczce brata, odzyskała spokój. Wcześniej nie rozumiała, na czym polega jej wina, teraz sądziła, że najdalej po trzech miesiącach odzyska wolność, na tyle bowiem opiewał nakaz aresztowania. Napisała, na żądanie śledczych, „siostrzany” list do brata. Oczywiście nie podała w nim, gdzie się znajduje, ale samo wysłanie go za granicę w takich okolicznościach musiało być dla Władysława Cesarza jasnym sygnałem aresztowania bliskich. Wbrew wcześniejszym rachubom Stefania nie została zwolniona, zamiast tego bez żadnego wyjaśnienia przewieziono ją z aresztu UB do gdańskiego więzienia przy ul. Kurkowej. Gdy wprowadzono ją do środka, na korytarzu zobaczyła stryja stojącego twarzą przy ścianie. Józef Cesarz był kolejną osobą z rodziny, którą zatrzymano i poddano przesłuchaniom, a potem przetrzymywano tygodniami, ponieważ utrzymywał częsty kontakt z bratankiem.

Równie zdezorientowani i zagubieni byli pozostali aresztowani. Halina Pierścionek (służbę na statku „Żuraw” pełnił jej brat Wojciech) znalazła się w areszcie tego samego dnia co Stefania Cesarz. Zapytana przez oficera

śledczego, co wie o ucieczce brata, odparła, że usłyszała o tym fakcie trzeciego dnia po aresztowaniu, gdy jeden z żołnierzy podających jej zupę zapytał, czy wie, „za co siedzi”. „Gdy odpowiedziałam, że nie wiem, wówczas tenże oświadczył mi, że siedzę za to, że mój brat uciekł za granicę” (AAN, sygn. 230, k. 52).

W podaniu do prezydenta Bolesława Bieruta napisanym 19 listopada 1951 r. mieszkanka Kurowa Agnieszka Jabłońska informowała: „Mój mąż Tomasz Jabłoński został zatrzymany 11 sierpnia br. Powodu zatrzymania ani ja, ani mój mąż nie znamy. Po poszukiwaniu męża dowiedziałam się od prokuratora w Lublinie, że został on zatrzymany w związku z dezercją z wojska i rzekomą ucieczką za granicę mego syna Wacława Jabłońskiego” (AAN, sygn. 230, k. 14).

Jeszcze dłużej w niepewności był utrzymywany kolejny aresztowany, Michał Pierścionek z Gliwic. Wyjaśnienia przyczyn aresztowania domagał się pół roku od chwili aresztowania. 19 lutego 1952 r. napisał do Wojskowej Prokuratury Rejonowej w Katowicach: „Zwracam się z prośbą o wyjaśnienie mi powodu mego aresztowania, gdyż przez okres 6 miesięcy przebywania mego w więzieniu powód ten nie został mi przedstawiony. Nadmieniam, że przez okres 6 miesięcy od daty mego aresztowania żadnego śledztwa w stosunku do mnie nie prowadzono” (AAN, sygn. 230, k. 13).

22 lutego 1952 r. Bronisław Czaniecki napisał z więzienia przy ul. Montelupich w Krakowie do Prokuratury Generalnej w Warszawie prośbę o zakończenie śledztwa prowadzonego przeciwko jego rodzinie. „Jak dowiedziałem się w czasie śledztwa, aresztowanie nastąpiło na skutek ucieczki za granicę syna mego Jerzego Czanieckiego oraz pod zarzutem, że ja wraz z rodziną namówiłem go do tego przestępstwa i udzieliłem mu nawet jakiejś w tym pomocy”. Sięgał do argumentów racjonalnych, zwracając uwagę, że syn swoje przestępstwo popełnił jako człowiek pełnoletni. I zapewne z myślą o ratowaniu pozostałych członków rodziny odżegnywał się od jego postępków, zauważając, że „już w młodym wieku wyłamywałem się stale spod opieki ojcowskiej i matczynej. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że do Marynarki Wojennej wciągnąłem się w tajemnicy przed rodziną, bez zgody i zapytania rodziców” (AAN, sygn. 230, k. 25).

W aktach sprawy znajdują się petycje, podpisane własnoręcznie, niekiedy z wyraźnym wysiłkiem, bo przez osoby nieprzyzwyczajone do pisania. Być może z braku jakiegokolwiek reakcji na swoje pismo pani Jabłońska dostała wsparcie sąsiadów, może sama się do nich odwołała, a może oni z własnej woli napisali pismo. W każdym razie był to z ich strony dowód odwagi i solidarności.

*My, niżej podpisani obywatele polscy i mieszkańcy osady i gminy Kurów powiatu puławskiego, świadomi odpowiedzialności prawnej z artykułu 140 Kodeksu karnego za fałszywe zeznania, stwierdzamy, że osobiście znany nam od dawna Tomasz Jabłoński, urodzony w 1897 roku, jest człowiekiem cieszącym się najlepszą opinią w swej gromadzie, dobrym sąsiadem, lojalnym względem państwa obywatelem. Oświadczenie to składamy z własnej woli w uznaniu nienagannego życia i postępowania obywatelskiego Tomasza Jabłońskiego dla przedstawienia do odnośnych władz. (AAN, sygn. 230, k. 15–21)*

List podpisało 137 osób, w tym ks. Stanisław Zawadzki, proboszcz miejscowej parafii. Zapewne poszukując w tym przyczyny aresztowania i dopatrując się pomyłki, sołtys gminy Kurów dopisał, że aresztowany wywiązał się z wszelkich obowiązkowych dostaw, i przybił urzędową pieczęć. Podobnej treści pismo złożyło jeszcze kilkudziesięciu mieszkańców Bochofnicy, rodzinnej wioski Jabłońskiego.

O kolejnego z aresztowanych, 60-letniego Marcina Barańczaka, upomnieli się pracownicy Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska. W petycji do Bolesława Bieruta o jego zwolnienie ponad 100 osób zapewniało, że przed wojną jako posterunkowy „w kilkuletniej służbie swojej na tutejszym terenie nie uczynił nam nic złego, lecz był zawsze dobrze ustosunkowany do ludzi pracy”. Po wojnie został magazynierem, uczciwym i cenionym, i „nikt do niego nie ma z jakiegokolwiek tytułu pretensji” (AAN, sygn. 230, k. 52).

Nie ma żadnych śladów, by pisma te odegrały jakąkolwiek rolę w całej sprawie. Są jednak dokumentem świadczącym o ludzkiej solidarności.

Prawdopodobnie z uwagi na brak jakichkolwiek dowodów mimo przedłużającego się śledztwa w Departamencie Śledczym MBP w Warszawie zdecydowano o połączeniu spraw wszystkich rodzin (w sumie 16 osób) i przekazaniu ich nie do zwykłego sądu, lecz do rozpatrzenia przez Komisję Specjalną do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym. Wniosek podpisał wiceprokurator Prokuratury Generalnej Władysław Dymant, język uzasadnienia jest typowy dla tych czasów. Wymienieni w oskarżeniu ludzie są „najbliższymi członkami zbiegłych za granicę dezertów i zdrajców. W ich środowisku wychowywali się dezertrzy. Ze względów prewencji ogólnej i szczególnej wniosek o wymierzenie kary obozu pracy jest całkiem uzasadniony” (AAN, sygn. 230, k. 6). Prokurator żądał kary od pół roku do 24 miesięcy. Komisja Specjalna pochyliła się nad sprawą rodzin marynarzy 10 marca 1952 r., a więc dopiero po siedmiu miesiącach od dnia aresztowania.

Orzeczenia Komisji wydane w sprawie rodzin marynarzy zajmują niespełna półtorej strony. Poza danymi personalnymi skazanych oraz określeniem wysokości kary zawierają identyczne i całkowicie arbitralne uzasadnienia, w których uznano, iż „skazani jako najbliżsi krewni zbiegłego za granicę marynarza zachowaniem swoim i wpływem w dużej mierze przyczynili się jego ucieczki, i że postępowanie skazanych stwarza niebezpieczeństwo popełnienia przestępstw godzących w żywotne interesy pracujących dla Polski Ludowej...” (AAN, sygn. 230, k. 25–32).

Sześć kobiet i dziesięciu mężczyzn skazano na kary zaproponowane przez prokuratora. Tylko niektórym wliczono do kary czas pobytu w areszcie. Dodatkową szykaną był zakaz pobytu w dotychczasowym miejscu zamieszkania na okres 5 lat od uzyskania wolności.

Stefania Hewelt wspomina, że o skazaniu na 12 miesięcy obozu pracy dowiedziała się dopiero po 11 miesiącach od dnia aresztowania. Tyle czasu przebywała na oddziale śledczym, bez żadnych informacji na temat swojego losu. „Pewnego dnia zostałam przeniesiona do celi, gdzie przebywały już więźniarki z wyrokami. Wtedy dopiero i mnie wręczono wyrok, który musiałam pokwitować. Liczył się od dnia aresztowania, pewnie dlatego nie pojechałam

już do obozu pracy” (Relacja Stefanii Hewelt). Uważa, że miała dużo szczęścia. Zgodnie z wyrokiem po wyjściu z więzienia obowiązywał ją jeszcze pięcioletni zakaz mieszkania na Wybrzeżu, ale gdy poszła do dawnej pracy, po prostu przyjęto ją z powrotem. Kierowniczka kadr uznała jednak, że należy Stefanię „schować” przed oczami władzy. Dostała niższe stanowisko, gorzej płatne, lecz uniknęła wysiedlenia.

Gdy nadeszła „odwilż”, jesienią 1956 r. Stefania Hewelt postanowiła wystąpić do sądu o rehabilitację za niesłuszne skazanie. Rozprawa odbyła się w Warszawie. Sąd uznał wyrok za niesłuszny i przyznał jej odszkodowanie. Dopiero przy tej okazji dowiedziała się, jak nieoczekiwanie jej życie zostało połączone z losami nieznanymi jej ludzi. „Spotkaliśmy na korytarzu jedną z rodzin sądzonych w tej samej sprawie – to był starsza pani z synem. Dla nich ta sprawa skończyła się dramatem, zabrano im gospodarstwo, jej w śledztwie wybito zęby, mąż zachorował w więzieniu na gruźlicę. Teraz był umierający i bardzo jej zależało, by został przed śmiercią zrehabilitowany” (Relacja Stefanii Hewelt). Stefania Helwelt nazwisk nie zapamiętała. Tyle lat minęło...

### **Przypisy:**

\* Na historię rodzin załogi „Żurawia” natrafiłam, przeglądając akta Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym. W jednej z teczek zebrano protokoły przesłuchań aresztowanych, świadków i inne dokumenty dotyczące tejże sprawy. Odnalazłam występującą w aktach Stefanię Cesarz – napisałam do niej list z prośbą o kontakt i wysłałam go na adres widniejący w aktach. Okazało się, że nosi inne po mężu nazwisko, ale wciąż mieszka w tym samym mieszkaniu w Gdańsku-Wrzeszczu, skąd przed laty zabrało ją UB. Być może dlatego jej opowieść jest tak plastyczna. W chwili spotkania była już na emeryturze, do końca pracowała w Trójmieście jako urzędniczka. W latach 70. została ponownie aresztowana na skutek fałszywych podejrzeń o nadużycia finansowe i znalazła się na kilkanaście godzin w tym samym więzieniu przy ul. Kurkowej, gdzie spędziła kiedyś kilka miesięcy. Przeżyła szok, wróciły wszystkie złe wspomnienia. Z bratem spotkała się ponownie dopiero w latach 70. Usłyszała wtedy o szczegółach ucieczki. Okazało się, że brat wcale jej nie planował. Został postawiony przed faktem dokonanym, ale wybrał wolność.

### **Bibliografia:**

„Głos Wybrzeża”, 11 VIII 1951, s. 1.

Relacja Stefanii Hewelt z d. Cesarz, złożona w lipcu 2011 r., w zbiorach autorki.

Archiwum Akt Nowych, Zespół Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym, sygn. 230.

Semków Piotr (2006), *Informacja Marynarki Wojennej w latach 1945–1957*, Warszawa.

Czerwiński Julian (1989), *ORP „Żuraw” – uprowadzenie czy... prowokacja?*, „Przegląd Morski”, nr 5.

Korekta językowa: Beata Bińko